

Poza Dobrem i Złem



Padało.

Rising Storm delikatnie uniósł powiekę. Nad nim było tylko czarne niebo, całkowicie przysłonięte przez wielką warstwę chmur. Kropelki wody spadały mu prosto na twarz, irytując go okrutnie. Mrugnął kilkukrotnie i wreszcie się poruszył. Dopiero wtedy zauważył, że ciemne niebo widział przez dziurę w dachu, przez którą prawdopodobnie tu wleciał.

Podparł się kopytami i wstał. Stęknął, był cały obolały. Wydawało mu się, że niczego nie złamał, ale czuł się okropnie. Ponownie jęknął i przeczołgał się przez śmieci metr dalej, gdzie był już pod osłoną dachu. Cały mokry, drżał z zimna i bólu.

Gdzie w ogóle się znajdował?

Dopiero teraz, gdy woda spływała z niego na podłogę, rozejrzał się po pomieszczeniu. Poza tym, że był z powrotem na ziemi, nie miał pojęcia, gdzie się znajduje. Ostatnie, co pamiętał, to to, że spadał w kierunku miasta. Poza dziurą w dachu, jedyną rzeczą, która znajdowała się w pokoju, były małe drzwiczki, prowadzące chyba do dalszej części mieszkania.

Woda spływała mu z całego munduru. Rising Storm sięgnął kopytem po guzik. Wyraźnie się męcząc, zdołał go rozpiąć, a następnie zdjąć. Ściągnął górną połowę, pozostając tylko w spodniach. Trząśł się jak galareta. Był zmęczony, wychłodzony i wstrząśnięty. Cały czas szumiało mu w uszach. Bezużyteczny, poszarpany nippoński mundur rzucił w kąt.

Na swym lewym kopycie cały czas trzymał wciąż niewykorzystaną bransoletę – wyrównywacz szans. Tą samą kończyną sięgnął do paska. Dalej była przy nim pochwa z kataną. Następnie drugim kopytem zaczął szukać pistoletu. Tym razem jednak nie natrafił na nic. Musiał zgubić go w trakcie lotu i tego nie zauważyć.

Oddychając głęboko, Rising Storm jeszcze przez chwilę leżał tak na podłodze. Przez dziurę w dachu słyszał nieustającą ulewę i odgłosy dogasającej gdzieś w dali bitwy. Zdawał sobie sprawę, że nie może bez przerwy tu leżeć. Po kilku minutach odpoczynku powoli postawił stabilnie na ziemi wszystkie cztery kopyta. Następnie jeszcze raz się upewnił, że katana jest bezpiecznie w jego zasięgu. Wreszcie – po chwili wahania delikatnie nacisnął klamkę i uchylił drzwi.

Młody major nie mógł powstrzymać skrzypienia. Pomimo tego, nic się nie stało. Powoli wkraczając do pomieszczenia i rozglądając się, Rising Storm mógł w pełnej krasie zobaczyć, gdzie właściwie się znajdował.

Po przeciwnej stronie pomieszczenia, ponad pięć metrów dalej, dosłownie naprzeciwko niego w podniszczonym fotelu siedział Sińczyk. Rising Storm miał już sięgnąć po kataną, gdyby nie szczegół, tak oczywisty, ale który zauważył dopiero teraz. Nieznany mu siński oficer w mundurze miał całą głowę we krwi, a z jej boku ziała dziura. Pistolet leżał na podłodze, przekrzywiona czapka oficerska wciąż kryła włosy.

Major schował ostrze z powrotem i rozejrzał się po pomieszczeniu. Po jego lewej był stół, na którym chaotycznie i kompletnie losowo leżały jakieś mapy wojskowe. Nie rozumiał ich znaczenia, były pisane sińskimi znakami i w obecnym stanie nie umiał zrozumieć czego konkretnie one dotyczyły. Wydawało mu się też, że części z nich brakowało i ktoś je wyniósł.

Wszystko to mógł zobaczyć, gdyż w palenisku płonął ogień, nie wiadomo przez kogo rozpalony. Płomień powoli pochłaniał kłody drewna, oświetlając resztę pokoju.

Spojrzał na ścianę. Tam znajdowało się zdjęcie sińskiego dowódcy, który teraz siedział naprzeciwko niego. Było to dla niego oczywiste, martwy już oficer był bardzo podobny do tego z obrazu. Był ciemnoczerwonym jednorożcem o spokojnym spojrzeniu. Był bardzo wysokiego wzrostu, przynajmniej na zdjęciu. Tutaj tak to nie wyglądało, bo jego martwe ciało leżało na fotelu, kreując złudzenie, że aż tak wysoki nie jest. Obok niego na zdjęciu było jeszcze kilka osób – jedna klacz, być może żona, jedno źrebię o charakterystycznej zielonkawej sierści oraz grupa umundurowanych ogierów. Nie był w stanie stwierdzić, kim oni byli. Bracia? Jeśli tak, czemu było ich tak dużo? Koledzy? Jeśli tak, czemu są na rodzinnym zdjęciu? Była to różnorodna zbieranina, widział między innymi

żółtawego ziemnego kuca, różowego i purpurowego jednorożca i czarnego niczym noc pegaza.

Rising Storm odwrócił się od zdjęcia, zdając sobie sprawę, że jego rozważania i obserwacje są bez znaczenia.

Zamiast tego, zwrócił z powrotem uwagę na resztę pomieszczenia. Szukał innych drzwi. Znalazł dwa takie. Na próbę delikatnie otworzył pierwsze. Jak się błyskawicznie okazało – prowadziły na zewnątrz mieszkania, prosto w ulewę. Rising Storm przymknął drzwi i odstąpił od nich. Nie miał póki co zamiaru dalej moknąć, poza tym bał się, że w tak żalosnym stanie trafi na jakiegoś zdolnego do walki sińskiego żołnierza.

Nadal nie mógł pozbyć się szumienia w uszach. Przystawił kopyto do głowy i potrząsnął ją nieco. Natychmiast tego pożałował, po tym jak zawroty głowy wróciły, ale poczuł, że chyba trochę lepiej słyszy.

Nagle zatrzymał się.

Nie był sam.

Był pewien, że usłyszał jakiś dźwięk. Szept, może cichy jęk. Gdzieś w tym mieszkaniu był ktoś jeszcze.

Delikatnie wysunął kataną i cicho stąpając po dywanie, zakradł się pod drugie drzwi. Były one drewniane i cienkie, łatwo przepuszczały dźwięk. Serce zaczęło mu bić. Wstrzymał oddech, próbując usłyszeć to jeszcze raz. Z coraz większą pewnością znalazł się tylko dwa kroki od drzwi. Wysunął całe ostrze do pełna, brudna od krwi klinga ponownie opuściła swą pochwę.

Rising Storm czekał jeszcze kilka sekund.

...

Major rzucił się do przodu i pchnął miecz przez drzwi. Katana bez większego problemu przeszła przez cienki kawałek drewna. Nagły i straszliwie donośny wrzask bólu poinformował go, że ostrze sięgnęło celu oraz potwierdziło jego podejrzenia. Jednak to, jaki to był wrzask...

Rising Storm wysunął ostrze z powrotem. Po drugiej stronie usłyszał odgłos ciała upadającego o podłogę oraz donośny jęk bólu. Major silnym pchnięciem otworzył drzwi.

W schowku, na podłodze w rosnącej kałuży krwi leżało małe źrebię. Jego zielonkawa sierść była teraz pełna karmazynowej czerwieni. W spazmach bólu jęczało i miało kopytami po podłodze. Uderzenie musiało bardzo głęboko wejść w ciało.

Rising Storm upuścił miecz.

Co ono tu u diabła robiło!? Dlaczego!? Dlaczego w ogóle wpadł na ten pomysł!?

Setka myśli pochłonęła umysł Rising Storma, który oparł się o ścianę, by nie upaść. To się przecież zdarza. Jeden cywil w strefie wojennej to norma. To w ogóle nie byłby problem, gdyby za drzwiami był żołnierz ANR. Wtedy dziękowałby samemu sobie za spostrzegawczość. To tylko nieszczęśliwy wypadek. Zresztą, dlaczego myślał teraz o jednym zabitym źrebiątku, gdy wcześniej wymordował dziesiątki Sińczyków?

– Arrrgh! – jęknął Rising Storm i z frustracji trzasnął kopytem o ścianę.

Nie! Złe pytanie! Było kompletnie na odwrót. Dlaczego wcześniej nie myślał o tych dziesiątkach zabitych Sinczyków!?

Rising Storm zdał sobie sprawę, jak mało pamięta z bitwy, która przed chwilą się rozegrała. Pamiętał, jak Hissho uratował go przed śmiercią z rąk bombowego samobójcy. Potem sięgnął po miecz i ruszył do walki. Wtedy właśnie zderzył się jakby z barierą, jakby kompletnie zapomniał, co robił w tym momencie – poza tym, że walczył. To, co było potem, to wielkie zmęczenie, próba odpoczynku w chmurze i nagły lot w dół. Jakby kompletnie wyparowało mu z głowy, co robił pomiędzy tymi zdarzeniami.

Ale to, że nie pamiętał, nie znaczyło, że tego nie zrobił, prawda? Gdzieś w jego umyśle to było, tak blisko, niemalże na wyciągnięcie kopyta...

...

Sińczyk ścigał go, ale wleciał prosto pod celownik jednego z samolotów. Seria z ciężkiego karabinu przedziurawiła go niczym sito. Nie miał pojęcia, co myślał, ale z jakiegoś powodu zawrócił i jeszcze uderzył spadającego pegaza mieczem, chociaż ten był już definitywnie martwy.

W pewnym momencie, gdzieś pod koniec bitwy, wleciał do jakiejś chmury, gdzie kryło się czterech sińskich żołnierzy. Wszyscy czterej natychmiast się poddali, komicznie upuszczając broń, która spadła w dół. Podnieśli kopyta w górę i coś mówili w tym swoim języku. Ale on ich nie słuchał.

Uderzył raz, drugi, trzeci, czwarty, opętane ze strachu pegazy wrzeszczały. Jeden próbował uciec i za tym poleciał.

Najbardziej w jego umyśle pozostał ten ostatni pegaz. Płakał. Ukrył się w chmurze, bezcelowo licząc, że nikt go tam nie znajdzie. Kiedy Rising Storm stanął tuż obok niego, nie zrobił nic. Nippończyk był tak zmęczony, że ostrze katany nie zdekapitowało Sińczyka jednym cięciem. Bez cienia wątpliwości podniósł broń jeszcze raz i uderzył ponownie.

I były jeszcze dziesiątki innych pegazów, których twarzy nie pamiętał. Część walczyła, część nie. Nie miało to znaczenia. Uderzał tak jak zawsze, zdecydowanie, bez

zawahania. Ostrze katany było tak brudne od krwi, stępiałe i obite, że ledwo nadawało się do użytku. Jego mundur, którego połowę zostawił za sobą, był tak brudny od cudzej krwi, że nawet wielka ulewa nie mogła tego zmyć, a smród był wręcz powalający.

To było niegodne żołnierza Imperium Wschodzącego Słońca. Kalał tym honor Cesarskiej Armii. To była obraza dla Imperatora na Chryzantemowym Tronie. To, co robił, było dalekie od ideału. Raczej było mu bliżej do dzikiej bestii, która kompletnie zatraciła się w walce.

Rising Storm oddychał głęboko, próbując się uspokoić. Miał ochotę się rozplakać.

Nagły jęk bólu przypomniał mu o tym, że przecież przed chwilą zabił niewinne źrebie. A właściwie to nie do końca. Zupełnie pochłonięty swymi myślami, nie zauważył, że mały Sińczyk czołga się na przednich kopytach, pozostawiając za sobą krwawą smugę. W szoku patrzył, jak ten omija go, jęcząc z bólu, a następnie kieruje się w stronę uchylonych drzwi na zewnątrz, desperacko próbując przed nim uciec.

Przez chwilę Rising Storm nie mógł nawet się ruszyć, kompletnie ośpiał z szoku. Dopiero po kilku sekundach pegaz delikatnie się uchylił i podniósł z powrotem katanę.

– Powinienem... powinienem chociaż zapewnić mu szybką śmierć – szepnął na głos, tak jęklwym i płaczącym głosem, że sam był w szoku.

Rising Storm ruszył za nim, ale okazało się, że w mieszkaniu już go nie ma. Źrebie czołgało się już w mrok nocy, na zewnątrz, prosto w ulewę. Karmazynowa smuga krwi kończyła się przy drzwiach, które teraz były otwarte na oścież. Poza odgłosem masowo uderzających kropel, żadne inne dźwięki nie wypełniały tej przeklętej nocy.

Wahał się tylko przez chwilę. Młody major zrobił kolejny krok i ponownie, niemalże natychmiast był mokry od stóp do głowy. Zadrżał z zimna.

Cały kompleks był standardowym Siheyuan, sińskim mieszkaniem, w którym kwadratowy dziedziniec z trzech stron otaczały jednopiętrowe zabudowania, a z czwartej strony było wejście. Był to klasyczny typ rezydencji sińskiej, najczęściej spotykanym w cesarskim Tikinie. Jednak dziedziniec przed nim nie zawierał w sobie ogrodu, fontanny, jakiegokolwiek posątku czy ławek. Zamiast tego była tylko płaska przestrzeń, na której rosła dzika trawa. Nic nie rozświetlało mroków nocy, poza płonącymi dachami mieszkań w oddali. Sam dziedziniec był właściwie całkowicie pograżony w ciemności.

Ruszył dalej, skupiając wzrok. Powoli przyzwyczajał się do tej ciemności. Dostrzegł między innymi, że na dziedzińcu leżą trupy innych pegazów, które się tu rozbiły. Widział też, że jedna ze ścian została zniszczona, albo po uderzeniu bomby, albo gdy z wysokości kilkuset metrów spadł na nią skrzydlaty kuc. Z jakiegoś powodu przy ścianach kompleksu widział skrzynki, prawdopodobnie z amunicją, oraz kanistry paliwa. Nie miał bladego pojęcia, jaki idiota zostawił te rzeczy pod otwartym niebem, ale być może nie przewidział deszczu. Teraz wszystko mokło.

Szukał, gdzie uciekło to źrebię.

Wreszcie je znalazł. W ramionach kogoś innego.

Kilka metrów dalej na kolanach siedział kucyk, który podtrzymywał kompletnie nieruchome, już nieżywe ciało dziecka. Był on czarnym pegazem, którego sierść w mroku nocy była ledwo widoczna. Tylko jedno skrzydło widział wyraźnie. Tam, gdzie powinno być drugie, był szeroki bandaż okalający cały tułów. Nawet teraz, gdy siedział przykucnięty, nachylony do martwego źrebiątka, był ogromny, przewyższał go co najmniej o głowę. Rising Storm nawet nie wiedział, że zwykły pegaz może być tak wielki.

Młody major nie wiedział, co robić. Tylko stał i dalej mókł wśród strug deszczu.

Wreszcie nieznany mu czarny pegaz podniósł wzrok i go dostrzegł. Z tej odległości nie widział jego ekspresji twarzy. Dostrzegł zaś, że się trzęsie. Nie wiedział, czy z zimna, czy z wściekłości.

Sińczyk delikatnie upuścił ciało źrebiątka z powrotem na ziemię, a następnie zwrócił się w kierunku Rising Storma, stąpając na wszystkich czterech kopytach. Podobnie jak on, zdarł już górną część munduru, pozostając w samych spodniach. Mierzył go wzrokiem.

Rising Storm po raz pierwszy w swej krótkiej karierze oficera cesarskiej armii poczuł prawdziwy niepokój przed nieznanym mu Sińczykiem. To nie był strach, Rising Storm był tego pewien. Było to jednak przeczucie tak złowrogie i tak niepokojące, że ledwo mógł oddychać. Wokół czarnego pegaza były inne trupy. Po mundurach poznał, że są to Nippończycy, ale nie wiedział, czy zginęli oni od upadku, czy były to ofiary nieznanego mu Sińczyka.

Czekali i mokli razem, na środku dziedzińca rezydencji Siheyuan.

Major uznał, że nadszedł czas. Nie było innego rozwiązania i był pewien, że jego adwersarz myśli to samo. Rising Storm przekręcił bransoletę, która rozbłysła magicznym światłem, a następnie chwycił w nią swój miecz. Jego kompletnie zużytą kataną otoczyło pole lewitacji, które uniosło ją w powietrze. Zamachnął się na próbę i ostrze, będąc metr od niego, dalej poruszyło się, jakby walczył nim konwencjonalnie.

– *Dziewięćdziesiąt sekund* – zanotował w umyśle.

Czarny pegaz przed nim nawet nie drgnął. Jeszcze przez trzy sekundy stał i dalej moknął w deszczu. Rising Storm wiedział doskonale, że on, dysponując wyrównywaczem szans, zakończy to w maksymalnie pięć sekund. Nie było szans, by Sińczyk miał z nim szansę, gdy potrafi lewitować ostrze i walczyć nim niczym jednorożec.

Jednak siński żołnierz nagle sięgnął do kopyta i wtedy Rising Storm zrozumiał.

Wcześniej niewidoczna w mroku nocy bransoleta zapłonęła światłem i z pochwy u pasa Sińczyka wysunęła się długa szabla dadao, brudna od zeschłej krwi i równie stępiona od zażartej walki. Niczym drwinę, jego przeciwnik powtórzył próbny zamach, pokazując mu, że to nie żadna sztuczka. Następnie pojedynkowo przesunął kopyta, a szablę ustawił w jego kierunku, gotową.

Chociaż w mroku deszczowej nocy nie widział ekspresji twarzy jego przeciwnika, był prawie pewien, że ten się uśmiechnął.

– *Użył bransolety pięć sekund po mnie... – pomyślał. – Ma pięć sekund przewagi. Jeśli będziemy walczyli dłużej niż dziewięćdziesiąt sekund, zabije mnie.*

Czarny pegaz postąpił krok do przodu. Rising Storm poczuł nagłą, podyktowaną instynktem chęć, by się cofnąć o krok. Młody major zacisnął zęby.

– *Nie* – rozkazał sam sobie.

#

Minęły jeszcze dwie sekundy. Ponieważ nie wykonał żadnego ruchu, zniecierpliwiony czarny pegaz ruszył do przodu i zamachnął się szablą. Rising Storm nie cofnął się, a zamiast tego przyjął uderzenie na swą katanę i pozwolił, by ostrze przeciwnika ześlizgnęło się po mokrej stali. Następnie, przesuwając się o krok w prawo, ciął na skos. Czarny pegaz uskoczył w bok i odstąpił pola.

Zaczęli krążyć w kółko, oceniając się nawzajem. Do ustawicznego deszczu dołączył dźwięk kopyt zanurzających się w powstające na bieżąco małe kałuże.

– *To bez sensu. On ma przewagę pięciu sekund* – myślał gorączkowo Rising Storm.
– *Jeśli chcę przeżyć, muszę atakować.*

Wykonali jeszcze pół okrążenia i wtedy Rising Storm skrócił dystans, atakując szerokim cięciem. Jego adwersarz zablokował uderzenie, ale młody major nie zamierzał na tym poprzestać. Ciął jeszcze raz, tym razem z góry, licząc, że nawet jeśli cios zostanie sparowany, to zachwieje przeciwnikiem. Było to myślenie życzeniowe. Szabla dadao przyjęła cios, a następnie, znacznie szybciej niż Nippończyk mógł zaatakować, Sińczyk sam ciął. Tylko błyskotliwy refleks ocalił Rising Storma przed śmiercią.

Młody major odstąpił, oddychając głęboko. Po raz kolejny krążyli wokół siebie. Katanę trzymał wysoko w polu lewitacji, tak jak go uczono. Podobnie czynił jego adwersarz, który nie śpieszył się wcale, by prowadzić walkę. Czekał cierpliwie, wiedząc doskonale, że jeszcze trochę i zwycięstwo będzie jego.

W mroku nocy, wśród strug deszczu Rising Storm musiał się naprawdę skupić, by śledzić swego przeciwnika. Wcale nie pomagał fakt, że pegaz przed nim dysponował czarnym futrem. Jakby to wiedząc, siński żołnierz specjalnie trzymał się nisko, bliżej ziemi.

Fakt, że obydwoj walczący mieli fatalną widoczność, sprawiał, że nie mogli czytać dokładnie swoich ruchów, ani precyzyjnie wyczuć przeciwnika. Jednak to Rising Storm był tym, który musiał atakować. Pozbawiony wyrównywacza szans, nie przetrwa nawet kilku sekund w starciu z Sińczykiem.

Rising Storm rzucił się do przodu, przygotowując się do ogromnego zamachu. Jego adwersarz z łatwością przewidział to i ustawił swoje zakrzywione ostrze szabli do parowania.

Tylko że celem młodego majora wcale nie było sięgnięcie swego przeciwnika. On celował w jego miecz. Potężne cięcie trafiło, posyłając dadao przeciwnika kilka metrów dalej w prawo, a zostawiając swego przeciwnika bezbronnego, z mieczem lewitującym zbyt daleko, by mógł się nim bronić.

Natchnięty własnym triumfem, przewyciężając swój wcześniejszy szok, natychmiast podniósł miecz po raz drugi, by zakończyć życie swego przeciwnika. Już mu się wydawało, że wyprowadza cios, gdy nagle potężny ból rozerwał mu twarz po tym, jak dostał w nią kopytem. Rising Storm zaczął się cofać, ale wtedy jego adwersarz skrócił dystans i z całej siły uderzył go głową, tak mocno, że przez chwilę wydawało mu się, że czaszka mu pękła. Z bólu i oszołomienia Rising Storm zaczął się cofać na ślepo w stronę ścian rezydencji.

Obaj walczący sięgnęli magią bransolety po swoją broń – szabla Sińczyka leciała w powietrzu, a katana Nippończyka leżała opuszczona na ziemi. Obydwie bronie pofrunęły z powrotem w kierunku swych właścicieli. Następnie obaj zaatakowali niemalże równocześnie, tnąc swymi ostrzami do przodu.

Rising Storm wrzasnął z bólu, po tym jak szabla zanurzyła się w jego prawym boku. Natychmiast po tym Nippończyk instynktownie i odruchowo uskoczył do tyłu. Przeciwnik był kompletnie nienaruszony, uderzenie młodego majora minęło celu. Siński pegaz cofnął się, zdając sobie sprawę, że nigdzie nie musi się śpieszyć. W swoim czasie i tak zwycięstwo będzie jego.

Ponieważ ponownie znaleźli się daleko od siebie, Rising Storm spojrzał na swój ranny bok i o mało mu serce nie stanęło. Jego skrzydło zwisało na cienkim kawałku krwawego mięsa, które płonęło bólem. Uderzenie Sińczyka zatrzymało się dopiero na kości, która wydawała się strzaskana. Pióra i dalsza część skrzydła, pozbawione oparcia w jego ciele, leżały i płątały się u dołu.

Spojrzał na swego przeciwnika, który stał dalej z mieczem gotowym do walki, ale jednak czekając na niego. Następnie spojrzał ponownie na swoje skrzydło, które płonęło bólem i krwawiło.

Nie było wyjścia. Łzy naszły do oczu Rising Storma, zarówno z bólu, jak i psychicznej straty. Przemógł się, zacisnął zęby i ponownie skierował katana ku swemu przeciwnikowi. To jeszcze nie był koniec.

Ponownie krążyli wokół siebie na środku dziedzińca wśród okrutnego deszczu. Rana paliła bólem i Rising Storm nie mógł się powstrzymać od syczenia. Stąpał jeszcze ostrożniej, by jeszcze bardziej nie naruszyć swego prawego skrzydła.

– *Muszę atakować...* – myślał coraz bardziej nabuzowany adrenaliną Rising Storm. – *Jeśli po półtorej minuty nie zabije mnie, to zrobi to krwotok. Muszę atakować... atakować... atakować...*

Major rzucił się do przodu, ponownie próbując sięgnąć ukrytego za strugami deszczu przeciwnika. Ten ustąpił kroku i cięcie w nic nie trafiło. Sińczyk nie kontratakował, wciąż oczekując jego dalszych działań, wyzywająco spoglądając spod swej szabli.

Rising Storm wrzasnął ze wściekłości i bólu, i tym razem nie zamierzał dać swemu adwersarzowi chwili wytchnienia. Uderzył raz, drugi, trzeci. Każdy kolejny cios kataną dawał okazję do ataku. Bezlitośnie kontynuował, bombardując swego wroga gradem błyskawicznych cięć.

Czarny pegaz uchylał się, ustępował kroku, a część uderzeń przyjmował na śliskie od wody, zużyte ostrze. W mroku nocy i wśród strug deszczu Rising Storm nie widział, czy jego przeciwnik w ogóle się męczy. Wydawało mu się, że jego ruchy są wolne, być może również był zmęczony tak samo jak on sam. Być może przed walką stracił dużo krwi, gdy w jakichś okolicznościach stracił skrzydło. Mimo tego wiedział, że przeciwnik go deklasuje. Nawet się nie zdziwił. Wbrew pozorom, jego lekcje walki nie były niczym bardziej skomplikowanym niż sesje kendo w jakich uczestniczył. Wspomnienia z tych pojedynków wracały.

– *Men! Dou! Kote!* – słyszał pośród uderzeń drewnianych mieczy. – *Men! Dou! Kote!*

Czuł ciekłą krew z jego własnej rany, powoli płynącą mu po korpusie. Każdy ruch, który choć trochę naruszał kość skrzydła, natychmiast powodował ogromny ból. Po twarzy pegaza ciekły łzy. Oddychał łapczywie, próbując się uspokoić i dalej walczyć.

Myśląc, że jego przeciwnik słabnie, po raz kolejny ruszył do przodu i wyprowadził proste cięcie od góry. Sińczyk przyjął je na swoją szablę i przetrzymał. Dwa ostrza walczyły ze sobą o dominację. Rising Storm pociągnął kopytem z bransoletą w dół, usiłując przełamać się przez jego obronę czystą siłą. Czarny pegaz nie poddawał się, ale katana jego adwersarza powoli zbliżała się do niego, przepychana czystą siłą.

Wtedy wiele rzeczy wydarzyło się jednocześnie. Nagle Sińczyk delikatnie przechylił swoją szablę. To wystarczyło – ostrze katany, zamiast przepychać broń przeciwnika, poleciała w dół, ześlizgując się po mokrej klinkie szabli dadao, lecąc siłą impetu prosto w ziemię. Następnie czarny pegaz sam skoczył do przodu i...

Po raz kolejny Rising Storm wrzasnął z bólu po tym, jak w jednej chwili częściowo oślepl. Ostrze szabli przeszło mu przez kawałek czoła, a potem prosto w lewy oczodół.

Mieszanina krwi i wodnistej cieczy prysnęła ze środka. Paraliżujący i absolutnie przerażający ból wypełnił głowę Nippończyka.

W tym momencie powinien umrzeć od kolejnego cięcia, ale młodego majora uratował fakt, że będąc autentycznie przerażonym i opętany z bólu, rzucił się do tyłu, kompletnie instynktownie, próbując na ślepo uciec przed swym przeciwnikiem. Zatrzymał się dopiero gdy nagle zderzył się głową ze ścianą rezydencji, trzęsąc się w agonii.

Krew lała mu się z czoła, zasłaniając mu wzrok, noc kryła wszystko w mroku, a strugi deszczu sprawiały, że nie widział dobrze nawet reszty rezydencji. Jednym sprawnym okiem widział, że czarny pegaz błyskawicznie się do niego zbliża. Bardziej usłyszał niż zauważył, że nadchodzi kolejny zamach.

Rising Storm uchylił się i przetoczył przez kałużę, pozostawiając za sobą paskudną, karmazynową plamę krwi. Szabla przeszła mu tuż nad głową i uderzyła w ścianę rezydencji, odbijając się od niej. Młody major odruchowo uniósł kataną i w ten sposób sparował kolejne cięcie. Skierował ostrze w bok, tak by szabla ześlizgnęła się w dół, a następnie pchnięciem swego własnego miecza zmusił Sińczyka do cofnięcia się.

Jednak ten tylko na chwilę odskoczył. Coś się zmieniło. Wcześniej spokojny, czarny pegaz walczył pasywnie, wiedząc doskonale, że jeśli walka się przedłuży, na pewno wygra. Teraz jednak chyba go to już nie obchodziło, bo rzucił się do przodu, wrzeszcząc wściekle i wykonując potężny zamach. By uniknąć wyrzucenia własnego miecza, jak sam próbował ostatnio, Rising Storm nie parował, a odskoczył do tyłu.

Rising Storm cofał się i cofał, a siński żołnierz bezlitośnie podążał za nim, wściekle i z wielką siłą machając szablą. Młody major, wiedząc, jak niebezpiecznie jest przyjmować takie ciosy, uciekał do tyłu, przyjmując tylko co niektóre na klingę katany, tak by szabla sama się ześlizgnęła. Pocił się obficie, jego oddech był tak przyśpieszony, że prawie bezużyteczny, krew ciekła dalej i paprała mu prawą nogawkę spodni. Ból był tak silny, że bał się, iż za chwilę straci przytomność.

– Atakować... muszę atakować... atakować...

Ale nie miał jak. Był zmęczony, ledwo widział swego przeciwnika, krew lała mu się z czoła, a jego adwersarz nawet na chwilę nie przestawał wyprowadzać kaskady brutalnych cięć.

O mały włos nie potknął się o ciało zabitego przez niego samego źrebiątka. Paradoksalnie mu to pomogło, bo kolejne uderzenie czarnego pegaza poszło za wysoko. Rising Storm jęknął po tym, jak przetaczając się po ziemi, znowu naruszył swoje ranne skrzydło.

Kolejna seria cięć szablą zmusiła majora co ustawicznego cofania się. Zdał sobie sprawę, że jeszcze trochę i Sińczyk przygwoździ go do ściany. Ponownie przyjmując

postawę, zdał sobie nagle sprawę, że tym razem coś jest inaczej. Coś śmierdziało i to nie była jego własna krew, jego pot ani ten deszcz.

Była to benzyna. Konkretnie jej kałuża, w której stał. Wcześniej ta rezydencja musiała być magazynem, bo skrzynki z amunicją stały w kątach. Jeden z kanistrów z paliwem leżał bez korka, a jego zawartość tworzyła niewielką kałużę, w której właśnie stał.

Zdając sobie sprawę, że nie może się cofnąć, resztką swoich sił desperacko sparował.

Rising Storm nie mógł uwierzyć, jak bardzo jego przeciwnik go deklasował. To ani trochę nie był wyrównany pojedynek. Jak to się mogło zdarzyć? Czy naprawdę jego przeciwnik był tak dobry?

Dopiero po chwili, gdy sparował kolejne dwa ciosy, zrozumiał.

On już był martwy. Sińczyk przed nim wiedział, że bitwa jest przegrana. Doskonale o tym wiedząc, nie musiał już nic robić. Z jego perspektywy wynik tego pojedynku był bez znaczenia – i tak umrze, teraz albo w kolejnej walce, od innego nippońskiego żołnierza. Siński pegaz był kierowany czystą i absolutną vendettą. Przez akceptację swojej nieuniknionej śmierci, ten zaczął walczyć znacznie klarowniej, wyrafinowanie i absolutnie fanatycznie.

Jego przeciwnik był znacznie bliżej wypełnienia ideałów bushido niż on był kiedykolwiek.

Rising Storm zacisnął zęby i cofnął się jeszcze o krok, zbijając kolejne cięcie. Śmierć. Oczywiście, to było to. To właśnie to sprawiało, że walczył niczym dzika bestia opętana duchem wojny. Pamiętał swoją pierwszą szarżę na sińskie wojska, bitwy nad Heihe, H'astaten i Makinem. Absolutna pogarda dla śmierci czyniła go pewnym siebie, ufnym w swoje własne działania. Wiedza, że niezależnie od wyniku bitwy, brama do Wielkiej Równiny Niebios wciąż stała otworem.

Czarny pegaz uniósł wysoko szablę, licząc, że kolejne uderzenie przejdzie przez jego blok czystą siłą. Jedyne sprawne oko Rising Storma patrzyło, jak dadao zbliża się do niego.

W jednej chwili Rising Storm wykonał cięcie z dołu, rozszerzając pole lewitacji na swojej bransolecie. Ostrze katany przeszło przez kałużę benzyny, a następnie bokiem spotkało się z szablą. Potężny szcęk stali oznajmił im, że obydwa miecze się spotkały.

Jedna mała, delikatna iskra wystrzeliła spomiędzy obydwu broni.

To wystarczyło.

W mgnieniu oka katana zapłonęła ogniem, który nagle rozświetlił mrok nocy. Potężny gorąc strzelił obydwu walczącym w twarz, gdy benzyna na mieczu Rising Storma się zapaliła. Czarny pegaz ustąpił, oślepiiony nagłym blaskiem.

Dla majora nie miało to znaczenia. I tak przez strugi deszczu i krwi nie widział swego przeciwnika. Ale teraz jego przeciwnik również nie widział jego.

Rising Storm wrzasnął potężnie i rzucił się do przodu z płonącym niczym jaśniejąca gwiazda mieczem. Nie mógł zobaczyć swego wroga, ale nie miało to znaczenia. Słyszał plusk kopyt wciskanych w kałużę. Ostatkiem sił czarny pegaz zbił cięcie, ale major już uderzał po raz kolejny, na skos – zmuszając swego adwersarza, by je sparował.

Jego katana niczym spadająca gwiazda płonęła blaskiem, który jednak błyskawicznie przygasał. Ta niewielka część benzyny schwymana w pole lewitacji szybko wyparowała. Jego czas już się kończył, bransoleta trzymająca broń już się wyczerpywała.

Ale to były tylko nic nieznaczące szczególik, o których Rising Storm już zapomniał, powierzając swe życie Imperatorowi na Chryzantemowym Tronie.

Skoczył do przodu z bronią gotową do zamachu, płomień już przygasał, ale nie miało to znaczenia. Poświęcając ostatnią cząstkę siły w jego mięśniach, ciął zamazyście, po raz kolejny celując w broń swego przeciwnika. Nie wiedział, czy czarny pegaz był po prostu zmęczony, zaskoczony czy oślepiiony, ale tak samo jak ostatnio spróbował zablokować uderzenie. Stał uderzyła o stal i szabla dadao poleciała trzy metry w prawo, pozostając w polu lewitacji.

Ponownie przed nim stanęła ta sama szansa. Tym razem Rising Storm błyskawicznie, bez większego pomyślniku i czystym instynktem wyprowadził jedno proste pchnięcie.

Czarny pegaz jęknął, gdy katana zanurzyła się w jego ciele po całą długość, rozrywając wnętrzności. Zaczął upadać na plecy, ale podtrzymał się jednym kopytem, siadając na mokrej trawie w rosnącej kałuży krwi. Rising Storm próbował wyrwać katana, ale wtedy właśnie pole lewitacji znikło, a bransoleta przestała świecić. Dziewięćdziesiąt sekund.

Jego przeciwnik trząsł się z bólu, nabity na samurajski miecz. Jego wyrównawczy szans wciąż działał. Gdy jednym kopytem się podtrzymywał, zamachnął się drugim, próbując trafić bezbronnego majora, jednak Rising Storm odsunął się i szabla tylko przecięła powietrze.

Czekał. W oczach czarnego pegaza była absolutna nienawiść. Sińczyk machał na ślepo przez strugi deszczu, próbując sięgnąć szablą swego wroga, ale ten był poza jego zasięgiem. Po pięciu sekundach jego bransoleta też przestała działać i broń upadła prosto w błoto.

To był koniec.

Jęcząc z bólu, Rising Storm podszedł do umierającego czarnego pegaza. Patrzył on prosto na niego z mieszaniną pogardy i nienawiści. Pomimo że bransoleta już od dawna nie działała, cały czas trzymał kopyto wymierzone w niego, jakby dalej chciał walczyć, chociaż było oczywiste, że nie jest już w stanie.

Coś próbował wydyszeć po sińsku, ale nie rozumiał, co on do niego mówi. Powtarzał jedną frazę niczym mantrę, coraz słabiej i niezrozumiale.

Rising Storm podszedł bliżej i chwycił swoją katanę. Zaparł się kopytem i pociągnął. Ostrze nawet nie drgnęło.

Czarny pegaz podparł się mocniej jednym kopytem, podczas gdy drugie, cały czas wysunięte, skierował teraz na niego. Dotknął jego szyi i zaczął ją naciskać. Dopiero po chwili zrozumiał.

– On próbuje mnie udusić...

Było to żalosne. Ledwo mógł wywołać nacisk na jego gardle, nawet dwoma kopytami nie byłby w stanie tego zrobić. Jednak Sińczyk dalej próbował. Rising Storm kompletnie to zignorował, zamiast tego mocniej się zaparł i zaczął ciągnąć.

Jęknął z bólu, jak i z wysiłku. Wydawało się, że katana na coś się zablokowała. Przez ciekącą mu z czoła krew właściwie nic już nie widział. Przetarł oczy jednym kopytem i dopiero po chwili kontynuował. Właściwie stojąc na jednym kopycie, a drugie opierając o umierającego Sińczyka, pociągnął z całej siły.

Coś potężnie zgrzytnęło i Rising Storm poleciał na plecy wraz z kataną. A właściwie tym, co z niej zostało. Ostrze było złamane i w zasadzie jego całość utknęła we wnętrznościach pokonanego wroga. Strumień krwi pociekł z rany, a umierający Sińczyk opadł na trawę.

Rising Storm powoli wstał, jęcząc z bólu. Czuł się słaby, tak słaby. To było nie tylko zmęczenie, to była też krew, którą stracił i która wciąż się z niego lała. Pokonał kilka kroków i stanął nad swym niedawnym przeciwnikiem. Leżał on, martwy, tuż obok źrebiątka, które zabił kilka minut temu.

Młody major opadł na kolana. Moknął dalej, z krwią, wodą i łzami spływającymi, opadającymi prosto na ziemię.

#

Para pegazów siedziała na dachu jednego z budynków na przedmieściach Makinu. Na wschodzie powoli wznosiło się Słońce, oświetlając zniszczone wojną miasto.

Milczeli jeszcze długi czas. Dopiero gdy pełny dysk rozświetlił nieboskłon, młodszy stopniem odważył się coś powiedzieć.

– Nie mogłeś go znaleźć? – zapytał Fabulist.

– Nie – odparł Soy

Milczeli dalej.

– Nie wiem zresztą, czy to w ogóle możliwe – kontynuował po chwili. – W sensie czy rozpoznam ciało. Fosfor. Gdy leciał w dół, był już... był...

Głos mu się załamał. Schował twarz w kopytach. Fabulist przez moment myślał, co powiedzieć.

– Znajdziemy go – powiedział, próbując brzmieć jak najłagodniej i jak najbardziej pocieszająco. – Kapral Kogeta miał chyba jakiś medalik, prawda? Coś, co mogło się nie spalić w trakcie lotu. Prędzej czy później powinniśmy na niego trafić.

Fabulist w rzeczywistości pieprzył bzdury i sam zdawał sobie z tego sprawę. Był pewien, że ciało Kogety jest kompletnie nie do rozpoznania. To było oczywiste. Najpierw całe jego futro się spaliło, a potem, po lądowaniu kilkaset metrów niżej, z jego ciała nie mogło pozostać nic rozpoznawalnego.

Nawet teraz pegazy przeczesywały dachy, szukając ciał poległych towarzyszy broni. Było jednak bardzo trudno odróżnić ich kolegów od poległych Sińczyków. Najczęściej formą odróżnienia był mundur, ale i z tym były problemy. Poza tym, dalej nie pozwalało to zidentyfikować, kim konkretnie dana osoba była.

Fabulist ciężko westchnął, dalej patrząc na wschodzące słońce. Była to ostatnia piękna rzecz w tym przerzedzonym wojną krajobrazie.

Możliwe, że gdyby Fabulist, zamiast romantycznie patrzeć na słońce, spojrzał nieco niżej, dostrzegłby podejrzaną, skradającą się uliczkami kłacz o tęczowej grzywie.

– Powiedz, piórwa mać, że żartujesz. – powiedział pułkownik Black Lancer. – To jest żart, prawda?

Lekarz przez chwilę milczał, zastanawiając się, czy coś mu się stanie, jeśli powtórzy to samo. Dla bezpieczeństwa odsunął się o krok od nippońskiego dowódcy, w głąb namiotu szpitala polowego. Smród krwi, wymiocin, kału i alkoholu wypełniał powietrze.

– Znaleźli go gdzieś koło drugiej, trzeciej w nocy, nieprzytomnego. Był pozbawiony lewego oka oraz zadano mu poważną ranę na prawym boku, tuż obok skrzydła, aż do kości – powiedział beznamiętnie, starając się nie rozsierdzić wybuchowego pegaza przed nim. – Stracił też dużo krwi.

– Przeżyje!?

Przez chwilę lekarz się zastanawiał.

– Tak, ale...

– Ale!?

– Musieliśmy mu amputować skrzydło w całości. Nie było wyjścia. Weszła gangrena i zakażenie by go zabiło.

Pułkownik Black Lancer zacisnął zęby.

– Nie było innego wyjścia? – syknął. – Naprawdę?

– Niestety – szepnął lekarz. – Przykro mi, że nie mam lepszych wieści.

Dowódca pegazów wyszedł z namiotu. Reszta towarzyszy już na niego czekała, oparta o drewnianą ścianę jednego z domów. Podeszedł bliżej.

– I jak? – zapytał Iron Shield.

– Gówno – odparł wściekły. – Dalej nie wierzę, że absolutnie nikt, piórwa, nie zauważył, że dowódca pierdolonej jednostki operacyjnej sobie spada i rozbija się w mieście.

– Prawdziwie nieszczęśliwy los – mruknął major White Mane.

“Wiedźma” Double Iris jak zwykle milczał. Black Lancer zauważył, że znowu nosił okulary przeciwsłoneczne, choć słońce dopiero wschodziło.

– Dobrze przynajmniej, że i tak straty nie były wielkie. Z tego, co słyszałem, na początku bitwa nie wyglądała tak różowo – powiedział pułkownik Gale Wolf, który stał tuż obok podporucznika o wiedźmich oczach. “Dowódca odsiecz” dalej był pokryty bandażami po bitwie nad Heihe.

– Owszem – odparł Iron Shield. – Tylko około trzy tysiące zabitych z naszej strony. Ale to wciąż była fatalnie rozegrana bitwa.

Z tym mogli się zgodzić wszyscy. Nikt nie był zadowolony z przebiegu wydarzeń. „Wielki triumf”, „zdobycie stolicy Siny” oraz „ostateczne zmiżdżenie reżimu Jenga” jakoś nie były w stanie polepszyć im humoru. Gdzieś w głębi serca czuli, że w rzeczywistości ich zwycięstwo jest puste.

– Może i Sińczycy przegrali – dodał milczący dotychczas „Wiedźma”. – Ale my na pewno nie wygraliśmy.

Nazwali potem tę ulicę „Aleją Pogorzelik”.

Wchodząc na nią, czuli się, jakby weszli do zupełnie innego świata. Wszystko straciło kolor, wszystko było albo białe, albo czarne. W powietrzu unosiły się popioły po ogniu, który tamtej nocy wypalił wszystko w linii prostej od Bramy Zhonghuamen. Wszystko, co drewniane, zostało spalone na małe wiórki, które teraz unosił wiatr. Kamienista zabudowa była osmalona, gorąco było tak ogromne, że nawet metal się topił. Co rusz znajdowano metalowe przedmioty tak wykrzywione i roztopione, że nie przypominały oryginałów.

Kapitan Sake postawił stopę w miejscu, które sięgnął czar Iserlohn. Możliwe, że mu się tylko wydawało, ale ziemia nadal wydawała się cieplejsza, pomimo że minęły godziny od użycia zaklęcia.

Żołnierze przeczesywali ruiny i szukali pod śmieciami ciał poległych towarzyszy. Znajdowali też przerażonych sińskich żołnierzy, którzy natychmiast się poddawali. Spotykali też cywili, ale z tymi nie wiedziano do końca, co robić. Wielokrotnie widzieli, że sińscy żołnierze nie noszą mundurów, więc tymczasowo internowali każdego spotkanego sińskiego ogiera.

Jednak wciąż odnajdywano żywych Sińczyków w innych częściach przedmieść. Na Alei Pogorzewisk nie było nikogo. Tylko cisza i popiół unoszący się na wietrze.

A przynajmniej tak się kapitanowi Sake wydawało. Podczas gdy żołnierze usuwali resztki barykady, by zrobić przejazd dla ciężarówki z zaopatrzeniem, nippoński dowódca spostrzegł coś, co nie pasowało mu do scenarii.

Pięć metrów dalej widział przed sobą typowego trupa sińskiego żołnierza. Siedział on za ciężkim karabinem maszynowym typu Maxim. Gdy czar klasy Iserlohn był rzucany, musiał wciąż walczyć. Gorąc był tak wielki, że jego mięso i skóra stopiły się wraz z metalem. To, co

było przed nim, było dziwną mieszaniną spalonych mięśni odlazłych od kości oraz karabinu maszynowego.

To jednak był typowy widok w Alei. Bardziej zastanowił go trup leżący tuż obok, który dla porównania wydawał się być nietknięty. Nie miał żadnych oznak spalenia. Futro było tam, gdzie powinno być.

– Fukou, Hound, ze mną – rozkazał dwóm żołnierzom za swoimi plecami.

Podeszli bardzo powoli. Teraz, gdy był bliżej, mógł dostrzec, że było to źrebię, bo rozmiarem kompletnie nie przypominało dorosłego. Ziemski kucyk miał twarz ukrytą w ziemi. Nie mógł poznać, czy żyje, czy nie. Dla bezpieczeństwa Sake wyciągnął pistolet.

Stanęli w trójkę wokół podejrzanego ciała. Będąc zaledwie metr od niego, kapitan dostrzegł, że jego pierś delikatnie się unosi. Wymierzył z broni.

– Wstawaj – powiedział.

Wiedział doskonale, że Sińczycy nie znają nippońskiego, ale sam też nie umiał po sińsku. Liczył, że ton głosu zasugeruje jego intencję.

Ale źrebię nie wstawało, chociaż był pewien, że żyje. Tylko delikatnie się poruszyło.

– Wstawaj – powtórzył.

Dalej nie reagował. Kapitan Sake wiedział, że mniej miłosierny dowódca nippoński już kazałby je rozstrzelać, ale to wciąż było tylko źrebię. Tylko źrebię. Zwrócił się do dwójki żołnierzy i zasignalizował im, by go podnieśli. Ci podeszli bliżej i łapiąc go, podnieśli z powrotem na kopyta.

Gdy to zrobili, źrebię upuściło granat trzymany w ustach, już bez zawlecзки. Łzy ciekły mu po wykrzywionej smutkiem twarzy.

– *Dlaczego... dlaczego?* – zdążył tylko pomyśleć, zanim eksplodował.